№ 25. Warszawa, dnia (12) 24 Czerwca 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1
Za odnoszenie do domu kop. 10.
Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25, półrocznie . „ 2.50, rocznie . . „ 5.—
Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20.
Agencye główne na Galicyę: we Lwowie Księgarnia Polska Plac Maryacki 11; w Krakowie księgarnia S. A. Krzyżanowskiego.
W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu.
Za zmianę adresu kop. 15.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane“ wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje Administracya pisma i wszystkie biura ogłoszeń warszawskie i znaczniejsze zagranicą.
Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa. Chmielna 26.
TELEFON 106.

Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika” — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał trzeci roku 1899.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści” w Warszawie, Chmielna Nr. 26.

„MARYSIEŃKA”

Portret historyczny.

(Dalszy ciąg).

Wreszcie temperatura listów podnosi się wyżej jeszcze, a „synek“ i „mateczka“ ustępują miejsca — Celadonowi i Astrei. Odtąd też pojawia się w korespondencyi nowy żywioł: polityka. Jak zawsze u Marysieńki, w parze z sercem idzie głowa, a z pomiędzy sentymentalnych wynurzeń wyziera co chwila umysł trzeźwy, kombinujący i bardzo o korzyść osobistą dbały.

Korespondencyę z tej epoki przepełniają zdania zagadkowe i kryptonimy. Ostatnie były wówczas w powszechnem użyciu. Jak się zdaje, wprowadziła do nas tę modę Marya Ludwika, która też posługiwała się nimi obficie.

Posiadamy dziś klucz do listowych zagadek i królowej i Marysieńki. Wiemy zatem, że w słowniku tej ostatniej król nazywał się Aptekarzem, królowa Kameleonem, Ludwik XIV Chorągiewką na dachu, cesarz austryacki Kaczką, pewien wpływowy biskup Szczurem kościelnym i t. d.

Dla Zamoyskiego wybrano przezwisko Flecik (w oryginale *Flute*). Waliszewski utrzymuje, że w tym wypadku odpowiadało ono polskiemu „Fujarze„ co oznacza głupca i niedołęgę. Można być pewnym, że ten niesmaczny, a ze względu na stosunek występujących osób, oburzający koncept, wyszedł od Marysieńki. Daje on miarę jej wartości etycznej.

Wartość ta wyraźniej jeszcze przedstawia się w stosunku jej do dzieci.

Można wybaczyć pani Zamoyskiej, a przynajmniej można nie pociągać jej za to przed trybunał potomności, że była złą żoną. Wprawdzie wiarołomstwo jest zawsze rzeczą brzydką, i żaden najwymyślniejszy nawet sofizmat upiększyć tej rzeczy nie zdoła—moralny jednak upadek męża i głęboka a szczera miłość kochanka mogą tu Marysieńkę częściowo usprawiedliwić.

Gorzej, że była ona złą matką—co zresztą prawie zawsze chodzi z tamtem w parze.

Troje dzieci przyszło na świat z małżeństwa jej z Zamoyskim. Były to dzieci wątłe, słabowite i wymagające wyjątkowo troskliwej opieki. Wszystkie poumierały — w czem dowód, że im opieki takiej brakło.

Jeden znany i stwierdzony fakt na ustalenie domysłu tego wystarcza.

W ostatnich latach swego małżeństwa, pani Zamoyska, nasyciwszy się już Polską, zapragnęła zobaczyć Francyę i uciech jej zakosztować. Opuściła ojczyznę dzieckiem biednem, oddanem na wychowanie, prawie porzuconem; chciała pokazać się jej teraz jako wielka dama, magnatka, tryumfatorka. Tytuł księżnej i tarcza herbowa, na której herby d'Arquien'ów i Zamoyskich mitrą były nakryte, miały otworzyć jej szeroko podwoje dworu francuzkiego.

Mąż chory, osowiały i — nie bez zasady— podejrzliwy, nie chciał na ten wyjazd zezwolić. Ale Marysieńka nie była z tych żon, które się mężów o pozwolenie pytają. Opuściła Zamość skrycie, nocą, i jak mówią zabrała ze sobą całą kasę domową. Znajdować się w niej miało 70,000 złotych ówczesnych, co znaczy blizko dziesięć razy tyle, licząc na monetę dzisiejszą.

Mimo pośpiechu, z jakim były przyrządzane kufry podróżne, nie zabrakło w nich ani jednego stroju, ani jednego klejnotu „księżnej.“ O jednem tylko zabiegliwa pani zapomniała: o dziecku swem, słabowitem i smutnem, które przez sen wyciągało rączęta, wołając: „mamo! mamo!..“

Wołania nie usłuchano.

Matka pojechała do Paryża bawić się i błyszczeć, a dziecko — dziecko jedyne i ostatnie z trojga, pozostało na opiece ludzi obcych. Niech sam Cycero wstanie z grobu i podejmie obronę takiej matki — sprawę przegra i jeszcze niechęć przeciw sobie obudzi!

Rozumie się, że dziewczynka najemnym opiekunom pozostawiona, poszła wkrótce za starszem rodzeństwem. Nie wiemy zupełnie jakiem sercem i jakiem obliczem przyjęła ten cios matka; ojciec jednak obudził się na chwilę z odrętwienia alkoholicznego i — stanął do walki.

Walka odbywała się nie na kule i nie na szpady; zamiast nich chwycono się paragrafów sądowych. Jaki przeciwnik, taka broń. Marysieńka ugodzona została w miejsce najczulsze: w kieszeń. Położono areszt na jej majątku nieruchomym, następnie przerwano wysyłkę pieniędzy do Paryża.

Kapitulowała. Co większa, z zadziwieniem wszystkich — nie wyłączając męża, uczyniła akt skruchy. Pokorna i żałująca za grzechy powróciła do Zamościa, gdzie ją przyjęto radośnie i wystawnie, biciem w dzwony, oracyami w kościele, ucztą i t. d. Przypowieść o synu marnotrawnym pozyskała dodatek w historyi marnotrawnej żony.

W tymże czasie Celadon otrzymał wiadomość, której się najmniej spodziewał. Astrea doniosła mu listownie, że kocha nad wszystko... swojego męża.

Jest to jednym z zasadniczych rysów istot w rodzaju Marysienki, że siła, nawet brutalna, cudownie je przetwarza. Mężczyzna, który rzuca je na kolana, ma zawsze u nich większą cenę, niż ten, co sam klęka przed niemi.

Ale człowiek z nerwami Zamoyskiego nie mógł energii swej utrzymać długo w napięciu. Po silnym wybuchu, nastąpiła silniejsza jeszcze reakcya i — Celadon odzyskał prawa swoje z naddatkiem.

Romans zbliżał się coraz szybciej do ostatecznego rozwiązania.

Być może, iż Sobieskiemu wystarczała najzupełniej chwila obecna; Marysieńka jednak, jak zawsze, pamiętała pilnie o przyszłości. A właśnie choroba Zamoyskiego rozwinęła się; nie opuszczał zamku—dogorywał...

Więc też pewnego dnia, w warszawskim kościółku Karmelitów, ustronnym i cichym, uklękła przed ołtarzem młoda, dorodna i tajemnicą osłaniająca się para. Przy ołtarzu nie było kapłana i świece na nim nie płonęły; dwojgu młodym nikt nie towarzyszył, a kościół, przy zapadającym zmierzchu, zupełnie był pusty—jednak ten młodzieniec i ta kobieta zakwefiona łączyli się ślubami dozgonnymi.

Tegoż dnia wieczorem Sobieski był w zamku, a gdy składał obrzędowy pocałunek na ręce królowej, zauważyła ona na jego palcu pierścionek, który niegdyś ofiarowała swej wychowanicy, pannie d'Arquien. Miejsce jego na palcu pani Zamoyskiej zajął inny, na którym wyobrażone były „dwa serduszka gorejące jednym płomieniem.“ Właśnie na kilka tygodni przedtem pani Zamoyska zleciła Sobieskiemu listownie, aby u złotnika zamówił taki pierścionek.

Królowa zatrzymała ten fakt w pamięci.

Niedługo potem Zamoyski umarł. Umarł pod niebytność żony, której rola siostry miłosierdzia, przez czas pewien z powodzeniem odgrywana, sprzykrzyła się w końcu. Zapragnęła na chwilę zrzucić maskę, odetchnąć całą piersią, poszaleć, a potem znów wrócić do łoża mężowskiego i czekać końca cierpliwie. Trzebaż nieszczęścia, że pomiędzy jednem a drugiem przywdzianiem maski nastąpiła katastrofa!..

Marysieńka została wdową w warunkach najniepomyślniejszych.

Wolno było mężowi okazywać marnotrawnej żonie biblijną łaskawość—opinja publiczna, wszystkiego świadoma, osądziła ją surowo. Rodzina męża zamknęła jej wstęp do własnego domu; poddani zbuntowali się jawnie, nie chcąc nazywać jej swą panią. Jedynym środkiem podźwignięcia się moralnego i towarzyskiego byłoby małżeństwo z Sobieskim, ale czy Celadon nie zechce teraz zmienić się w motylka i do innych kwiatków odlecieć? Śluby bez księdza wiążą słabiej niż pajęczyna...

Tymczasem tak się zdarzyło, że Sobieski stał się niezbędnie potrzebnym Maryi Ludwice. Wynikło to z jej kombinacyi politycznych. Nie będziemy ich tu bliżej rozpatrywali, polityka bowiem w zakres tych szkiców nie wchodzi. Wiadomo zresztą na czem polegała i dokąd zmierzała polityka Maryi Ludwiki. Chodziło jej wyłącznie o uregulowanie spadku politycznego po Janie Kazimierzu. Rzecz była ztąd niezwykła, że spadkodawca żył jeszcze i cieszył się względnem zdrowiem, oraz że szafarka pośmiertnych skarbów króla była jego żoną.

Politykę uprawiała też z Marysieńką. Tej przyszłość Polski niewiele sprawiała kłopotu. Znacznie więcej troszczyła się ona o własną kieszeń i o pozłocenie margrabiowskiej tarczy d'Arquien'ów. Z tym trzymała, kto więcej złota sypał w jej nadstawiony fartuszek, i kto przyrzekał więcej zaszczytów dla jej ojca, siostr i braci. Ponieważ to wszystko przychodziło jej z Francyi, trzymała z Francyą, i pracowała na rachunek Kondeusza.

Kiedy w danej chwili stało się potrzebnem współpracownictwo Sobieskiego, przyszła jej na pamięć historya z pierścionkiem i odgadła, że ten nieustraszony pogromca Tatarów i Turków da się zaprowadzić jak dziecko tam, gdzie mu wskaże drogę różowy paluszek Marysieńki.

Zwrócono się zatem o pośrednictwo do tej ostatniej.

— Zgoda—odrzekła — ale pod warunkiem...

— Jakim? Z góry zapewniamy jego spełnienie!

— Pod warunkiem, że ten wasz Sobieski stanie się zaraz i moim—na zawsze.

Królowa zrozumiała, a następstwem tej domyślności był nowy epizod w życiu Marysieńki, który Waliszewski nazywa *il matrimonio segreto*. Rzecz jest niewątpliwie skandaliczna, gdy się porówna następujące daty:

Śmierć Zamoyskiego 7 Kwietnia, matrimonio w połowie Maja; pogrzeb Zamoyskiego w pierwszych dniach Czerwca.

Wynika ztąd, że Marysieńka zawarła powtórne śluby zanim jeszcze ciało pierwszego męża w grobie spoczęło.

Fakt opisany został współcześnie przez Niemirycza, ajenta elektora Brandeburskiego. Znany też był posłowi francuzkiemu, który w listach do swego monarchy wspominał o nim. Dokument Niemirycza przechowywany w archiwach berlińskich, znalazł następnie polskiego wydawcę. Wciągniono go do historyi i obciążono nim rachunek sumienia Marysieńki.

Niespodzianie znalazła ona obrońcę. Pilny i zasłużony badacz naszej przeszłości, Korzon, w swem cennem trzytomowem dziele, zaprzecza kategorycznie istnieniu ślubów tajemnych, poprzedzających jawną ceremonię małżeństwa.

Rozumiemy dobrze pobudki sumiennego historyka. Nie o Marysieńkę mu chodzi lecz o Sobieskiego. Chciałby z pamięci wielkiego bohatera wywabić tę plamę, która w jego oczach przybiera rozmiary zatrważające.

Wiktor Gomulicki.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Coś gorszego

od pomyłki sądowej.

(Dokończenie).

Proces Zoli to na wielką skalę lekcya poglądowa, pouczająca czem jest tłum w sądach swoich zbiorowych—czem jest jego łatwowierność niezmierna, jego posłuszeństwo każdemu natchnieniu poddanemu przez wielkie słowa, jego zmienność, zapalczywość i okrucieństwo przy niemowlęcej prawdziwie naiwności. Tłum to dziecko, ale dziecko zepsute przez samowolę, a jak w danym wypadku, dziecko dopuszczone do głosu w sprawie przekraczającej o wiele jego kompetencyę. Zdał też egzamin w onej lekcyi tłum francuski—nie powiemy ze swego krótkowidztwa—bo widzenie na odległość rzeczą mass nie jest bynajmniej, ale wykazał niezmierną zawodność instynktu zdrowego, który bardzo wielu optymistów uważa za wyłączną własność tych kroci i milionów, mających niby w przyszłości dyktować światu prawa.

Te galerye natłoczone w sali posiedzeń, te dziesiątki tysięcy zalegające ulice przed pałacem sprawiedliwości, to wszystko wodzone było niby na pasku przez garść winowajców, garść ugalonowanych sztabowców, co do których wówczas już człowiek umiejący słuchać i wnioskować, przekonanym był, że ich miejsce na ławie oskarżonych. Generałowie zapewniają po stokroć razy z ręką na sercu, że to nieprzyjaciele republikańskiej formy rządu uknuli tę całą nikczemną intrygę, że to są ci, którzy chcą zgubić ich drogą, kochaną Francyę, że nie można tej zguby skuteczniej dokazać, jak zniesławiając armię, która jutro może będzie musiała ruszyć ku granicy, że Dreyfuss, to zdrajca nietylko na mocy dowodów tajnych, których bez zgubienia kraju wydobyć na jaw nie sposób, ale na mocy dokumentów stwierdzonych, jako

autentyczne—niewątpliwych. Zresztą on sam już po degradacyi przyznał się do winy; znajduje się nawet taki, który słyszał to wyznanie, ale niezaraportował o tem władzy, bo to już było zbyteczne.

I ta publiczność oświeceńsza niby, bo taką przecież tylko wpuszczano do sali posiedzeń, ta publiczność oklaskuje każdego z tych de korowanych fałszerzy; co słowo słychać okrzyki: „niech żyje armia! — precz z żydami.“ Z wnętrza gmachu wylewają się te hasła obłędne na ulicę, i tam dopiero obmyślać musi policya tylne wyjścia dla Zoli, jego adwokata i jego stronników, a mimo wszystkich wybiegów i podejść, tłum dogania karetę Zoli, obrzuca ją błotem, przy okrzykach: „Pluć na Zolę! Do Sekwany z nim! Niech żyje armia!“

To wszystko działo się pod hasłami antysemickiego patryotyzmu; to wszystko były roboty zatrwożonych wielkiego sztabu winowajców, ratujących się ostatnimi fortelami kłamstwa, a sekundowanych przez niezmordowanych warchołów, takich jak Rocheforty, Deroulèdy i tylu innych, którzy w danym wypadku umiejętnie bardzo spożytkowywali słuszne z wielu względów niechęci i pretensye francuzkie do, nadużywającego w istocie swojej przewagi, żydowskiego możnowładztwa.

Nie możemy sobie wystawić, aby człowiek przekonań, który podejmuje ciężką walkę w obronie prawdy i słuszności, aby człowiek taki potrzebował poklasku na podnietę, a jednocześnie lękać się miał obelg i zniewag ogłupionego przez złą wiarę motłochu, ale doprawdy, że zbyt ciężkiemi okazują się w naszych czasach walki podobne, i zbyt drogo kosztować zaczyna spełnienie tego, co się w sumieniu ludzkiem nazywało dotąd obowiązkiem obywatelskim.

Można powiedzieć o Zoli, że jeśli ze świadomością zupełną przystępował do podjętego zadania, a nie godzi się przypuszczać, aby przystępował inaczej, to jest nieladajakiego hartu człowiekiem, a nawet posiada wbrew głoszonym o nim słuchom, niezwykłą fizyczną odporność organizmu i wytrwałość nerwową. Człowiek słabych przekonań, samolubny, chwiejny, egoista, po sto razy miał sposobność porzucenia całej sprawy, rzuciwszy na odejściu: „Tłumie bezmyślny a dziki, chcesz, aby cię oszukiwano — bądźże oszukiwanym wszędzie i zawsze!“

Wiadomo, że sądy zmuszone zamknąć się w zakresie przyznanych im atrybucyi, skazały Zolę na zamknięcie i koszta, wiadomo, że Zola opuścił Francyę przed uprawomocnieniem się wyroku, opuścił pewny zupełnie, że rzucone nasienie wzejść musi w przyszłości najbliższej, inaczej mówiąc, że zaniepokojona opinja bądź co bądź domagać się będzie stanowczego wykrycia prawdy.

Stało się jak przewidywał. Po długich walkach w łonie parlamentu i władz państwowych, przyszło nakoniec do postanowienia, mocą którego rewizya procesu została uchwaloną. Trybunał kasacyjny najwyższy z nieograniczonem do tej sprawy pełnomocnictwem, złożony z 47 członków pod prezydencyą p. Mazeau, roztrząsał tę sprawę, pełną drażliwości, fałszów, brudu wszelkiego, której też dla tego, i dla wielu zapewne innych powodów, pisma nasze nie podawały w wyciągach, mogących dać należyte pojęcie o doniosłości spełnionego przez władze wojskowe przestępstwa — a także mogących znawcom techniki prawnej wykazać całą wartość wiekowego dorobku Francyi na polu nauki i praktyki prawnej. Ten pamiętny proces, który zajmował sobą uwagę całego świata, pognębiający moralność sfer wojskowych francuzkich najwyższych, dał jednak możność francuzowi do powiedzenia, że ma jeszcze kraj jego sprawiedliwość, i że ma sędziów, biegłych w swoim zawodzie, a nieprzystępnych wpływom postronnym.

Sąd kasacyjny najwyższy po długich dochodzeniach, debatach i wnioskach, zniósł ostatecznie wydany na Dreyfussa wyrok w roku 1894, i sprawę jego przekazuje do powtórnego osądzenia władz wojskowych, naznaczając zebrać komplet sądu z pośród oficerów korpusu konsystującego w Rennes. Jakkolwiek wydaje się, że sprawa sądowa każda ma wynik ostateczny niepewny, to przecież ta wyjątkowo pozwala przewidywać rezultat dla obwinionego najniewątpliwiej pomyślny. Pokazało się bowiem z dochodzenia:

Że dokumenty piśmienne, na podstawie których zapadł wyrok są jedne sfałszowane, inne zaś pisane są nie ręką Dreyfussa, a ręką Esterhazy'ego, że nadto inne dowody, składające tak zwane akta tajne, były dorobione później, w miarę, jak nad zapadłym wyrokiem zaczynały się gromadzić chmury podejrzeń i oskarżeń publicznych.

Że pomiędzy prowadzącymi przeciw Dreyfussowi śledztwo i uczestnikami sądu wojennego znajdowali się ci sami właśnie fałszerze dowodów i organizatorowie całego przeciwko sprawiedliwości spisku, z których jeden mianowicie pułkownik Henry, uwięziony przez władze wojskowe, które już wtedy nie mogły przytłumić skandalu, samobójstwem zakończył swoje uczestnictwo. Pozostawił on kilka słów przed śmiercią powiedzianych do najbliższego otoczenia, które zwierzchność jego wojskową pod wyraźnym zarzutem wspólnictwa stawiają.

Sąd wojenny, rozbierając ponownie sprawę Dreyfussa, pozbawionym został przez trybunał kasacyjny materyału oskarżającego, ponieważ wszystkie dowody piśmienne są uznane jako nieobwiniające rzekomego przestępcy, a zeznania inne, przeciw niemu poczynione noszą wszystkie cechy niezaprzeczonego tendencyjnego kłamstwa.

Przyczyniły się też i ambasady obce do wyświetlenia prawdy. Attaché wojskowy włoski, pułkownik Panizardi powiada wprost, że Dreyfussa, jako dostarczyciela tajemnic wojskowych ani znał, ani słyszał o nim, jako o takim, natomiast przyznaje, że od majora Esterhazy'ego kupował różne wiadomości i płacił mu za nie. Pułkownik Schwartzkoppen, attaché ambasady niemieckiej, przed rządem własnym złożył deklaracyę, że nigdy pośrednio, ani bezpośrednio nie używał Dreyfussa jako podpatrywacza, a pułkownik Talbot, członek ambasady angielskiej, z przedziwną szczerością upowszechnia, że Esterhazy był jego stałym sekretów generalnego sztabu francuzkiego dostarczycielem.

Taki jest stan dzisiejszy tej machinacyi, wobec której wszystkie razem wzięte pomyłki sądowe tracą na kolorycie i zabarwieniu tragicznem. Wybrać sobie ofiarę, osnuć, przeciw niej intrygę, zgubić tę ofiarę doszczętnie i następnie dla usprawiedliwienia zbrodni, kłaść przestępstwo na przestępstwo, fałsz na fałsz, jest to coś, co narusza pojęcie ogólne o własnościach ludzkiego sumienia, o konieczności skruchy wcześniejszej lub późniejszej w człowieku zwykłym. Dotąd jednakże świat nie zna chyba winowajców głównych, tak dobrze, jak obcemi mu są pobudki i geneza sama zbrodni. Czy dowie się wszystkiego — trudno jest rozstrzygać dzisiaj, tak, jak trudno jest niewtajemniczonym jak my ludziom domyślać się na odległość, z jakimi czynnikami łączy się sprawa, co stoi poza kulisami akcyi, i co dla Francyi wyniknąćby mogło z całkowitego odsłonięcia tego gniazda nieprawości.

Dosyć ciekawe są też i u nas niektóre pojedyncze na tę zawiłą sprawę zapatrywania, o tyle ciekawe, o ile, rzec można, niebudujące. Jak wszystko prawie, są i one importowane z zewnątrz, ale dobrze przyjmują się w niektórych sferach, i wywołują cały szereg trochę naiwnych, trochę występnych zapytań.

— A więc ten Dreyfuss ma być podobno wolny?

— Tak piszą, i tego należy się spodziewać po rozpatrzeniu sprawy przez trybunał kasacyjny.

— Szczególny trybunał! Ludzie prawdziwie wtajemniczeni twierdzą, że Esterhazy przyznał się do napisania dokumentu oskarżającego Dreyfussa, bo mu za to jako bezpiecznemu za granicą zapłacił syndykat żydowski. Wszyscy popierający tę nikczemność są przekupieni.

— I Zola także?

— Natutalnie.

— I trybunał najwyższy, sądzący w całym komplecie 47-iu członków, w połączonym składzie swoich trzech izb — trybunał złożony z pierwszorzędnych znawców prawa i uczonych?

— Dlaczegóżby nie? A potem, jakoś trudno sobie nawet wyobrazić żeby taki człowiek mógł być wypuszczony na wolność.

— Nawet w razie jeśli jest niewinny?

— Jakim sposobem on może być niewinny? Wreszcie winny czy niewinny, nie może przecież odzyskać stopnia wojskowego, munduru, oznak honorowych — nie może objąć obowiązków, których został pozbawionym... to się w głowie nie może pomieścić podobna potworność.

Jak widzicie czytelniczki, umysły opętane przez niedołężnie pojęty antysemityzm, należą nietylko do bardzo uprzedzonych, ale i do bardzo nielotnych. Wolno, a może i należy, kwestyonować użyteczność żyda w służbie wojskowej, ale wyobrazić sobie, że żydowi, którego się tam raz wpuściło, godzi się wyrządzić wszelką krzywdę, i że w razie dopuszczenia się na niewinnym niesłusznej srogości, niema co myśleć dłań o rehabilitacyi i zadosyćuczynieniu, to inna znowu zupełnie sprawa.

W każdym razie to chyba jeszcze nie koniec tym razem.

A. S.

MALARSTWO.

W salonach resursy obywatelskiej, gdzie od pewnego czasu Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych mieści swoje zbiory, urządzono wystawę prac Juliusza Kossaka.

Zmarły artysta lubił tonąć w marzeniu o przeszłości. Nie jest to olbrzymie marzenie tytana-Matejki, tak skłonnego do wizyj posępnych, że nawet w harmonię radosnych obchodów wplatał dźwięki złowróżbne, i złowróżbne uśmiechy kładł na niektóre oblicza wśród tłumu radością i tryumfem rozjaśnionych twarzy. Marzenie Kossaka, to marzenie ducha pogodnego, dobywającego z otchłani dziejowej momenty niczem niezakłóconego szczęścia, momenty radosnego wyładowania się energii. Duch to mniejszy, niż autora „Grunwaldu." Sam ulubiony rodzaj jego (akwarela) nie pozwalał na rozpęd wielki, na rzucanie na płótno wielkich scen dziejowych, wizyj olbrzymich rozmiarów. Niby istotnie marzenie w bladawych, spłowiałych tonach, występują u niego sceny domowe, lub epizody wojenne, niedosięgające jednak nigdy stopnia tragicznego napięcia, nawet gdzie tego wymaga treść obrazu.

Jakąż potężną tragedyę zrobiłby Matejko z tematu „Herburt pod Sokalem."

U Juliusza Kossaka Herburt ma tylko w sobie bezkłopotliwy animusz, ten sam animusz, który podziwiamy po tyle razy później zgodniej z prawdą historyczną i psychologiczną, rozlany w twarzach polskich szwoleżerów.

Podobnie zbyt tragiczne motywy, nie harmonizujące z jego usposobieniem, podjął Kossak illustrując Grażynę i Wallenroda. Bezwątpienia są w obu tych cyklach rzeczy bardzo piękne, całości jednak nie przenika duch poematów.

O ileż lepiej harmonizuje się Kossak z Sienkiewiczem, o ileż więcej szczerości jest w obrazach jego, ilustrujących domowe życie naszych przodków. Ileż tam pogody!—aż dziw przejmuje, że ludzie mogli być kiedyś tak szczęśliwi. Ot, weźmy obrazek p. t. „Stado." Jest legenda, i w Mohorcie mamy o niej wzmiankę, o białej klaczy, która właścicielowi swemu przywiodła ze stepu całe stado dzikich koni.

Na obrazku Kossaka, przed wrota słomą kryte wyszedł gospodarz, Piast, choć w szlacheckiej szacie, za nim syn i żona, na której twarzy maluje się podziw i wdzięczność za to dziwne zrządzenie boże, za ten widomy znak błogosławieństwa. Klacz biała garnie się do ręki pana, jakby czuła, że zasłużyła na pochwałę. Wyraz ten ma nietylko fizyonomia zwierzęcia, ale i całe jego ciało, z pieszczotą jakąś garnące się do człowieka. Ale najwspanialsze są postacie tych dzikich stepowych biegunów, które tu przyszły same, i są jeszcze niepewne, płochliwe; same przyszły żądać opieki, same poddają się pod władzę człowieka i w jego futorze słomianą strzechą krytym szukają schronienia. Ich oczy błyszczące, ich ciała gibkie, pełne są niezmiernego wdzięku. Jest w całym obrazku nie dający się opowiedzieć nastrój, jest coś dziwnie rodzimego w zacieśnionym wprawdzie trochę pejzażu i w obliczu gospodarza futoru. Temu widać, jak mówi poeta, sądzonem było „dochować się syna, i stada, i sada, i starego wina." Przed tym obrazkiem marzyć można cichem, pogodnem, trochę melancholijnem marzeniem.

A teraz przejdźmy do „Pochodu." Czytelnicy pamiętają zapewne tę świetną kartę z epopei Sienkiewicza, gdy Chmielnicki na czele zbuntowanych tłumów rusza, by walczyć *ogniem* i *mieczem*. Pamiętają zapewne ten cudowny opis wiosny ukraińskiej, rozkwitłego, szumiącego stepu, który wita Chmielnickiego swą potężną pieśnią. Teorbany i litaury grają, malinowa chorągiew z archaniołem powiewa nad zastępami. Dzikie ptactwo z krzykiem zrywa się z pod kopyt końskich i chmurą przesłania słońce, a zastępy te na bój i śmierć idące żywiołowym jakimś pędem, pieją melancholijną pieśń „Hej wy stepy!"

W obrazku Kossaka jest niewieloma rysami zaznaczona taka olbrzymia bujność przyrody stepowej, że zdaje nam się, iż wciągamy w płuca ten silny, krzepiący wicher stepu, usposabiający do wszelakich wyskoków fantazyi, awanturniczość i siłę wlewający w żyły.

Szkoda, że nie można było zebrać wszystkich ilustracyi Kossaka do trylogii Sienkiewicza. Warszawa zna wprawdzie wszystkie niemal, ale zajmującą byłoby rzeczą mieć przed oczami cały szereg obrazów przypominających sceny wielkiej trylogii. Na obecnej wystawie zauważyłam tylko z cyklu tego oprócz „Pochodu" znane „Spotkanie Chmielnickiego z Tuhaj-bejem" i „Spotkanie Zagłoby z orszakiem weselnym." Ten ostatni obrazek najmniej udatny. Krasa dziewcząt ukraińskich nie uwydatniona bynajmniej. Zagłoba jest skończonym opojem, ale niczem więcej.

Legenda o Stanisławie Reverze Potockim, któremu wieśniak jako wróżbę przyszłego hetmaństwa, przyniósł wyoraną w polu buławę, dostarczyła Kossakowi tematu do jednego z tych pogodnych obrazków, których tyle zostawił po sobie.

Podobne wrażenie wywiera illustracya do znanej anegdoty z życia Jana III. Król ujmuje kibić kowalowej z Jaworowa i puszcza się z nią w tan. Postać Sobieskiego wspaniała i tak rozpogodzona, jak gdyby odsiecz Wiednia nie miała być ostatnim piorunowym krzyżem sławy.

Gdybyśmy jakimś historycznym porządkiem przeglądać chcieli prace Kossaka, należałoby wspomnieć teraz o ulubionych przez artystę tematach z kampanij napoleońskich. Znalazł on tam najwłaściwszy dla siebie żywioł. Amator i znawca konia miał tu bogate do popisu pole. Ze wszystkich historycznych najwdzięczniejsze też to chyba obrazki. Ot, weźmy taką ilustracyę do najpopularniejszej ze wszystkich piosnek „Puk, puk w okieneczko!" Trzech ułanów stanęło przed chatą, trzech ułanów jak malowanie, a najśmielszy puka do okienka. Dziewczyna wygląda. W jej twarzy wiele zdziwienia, dużo radości, a jak się zadziwi dziewczę, gdy wyjdzie przed chatę i ujrzy mnóstwo tych wojaków zjeżdżających ze wzgórza. Pełna ich cała droga, a wszyscy na koniach, nad każdym chorągiewka furczy. „Hej, tam na górze jest wojsko duże..."

W obrazie zatytułowanym „Bitwa pod Somosierra" niema już właściwie bitwy. Kozietulski, pod którym zaraz w pierwszych chwilach ataku zabito konia, pieszo zdaje raport cesarzowi, rannego Niegolewskiego niosą towarzysze. Krajobraz wydaje się trochę fantastycznym, mało tu podobieństwa do wąwozów, nie widać też strumienia, który płynął jego dnem. Postać Napoleona trochę ciężka, nie przemawia do wyobraźni.

Kilka jeszcze epizodów z wojen napoleońskich spotykamy na wystawie, a w każdym uderzają piękne kształty koni, i marsowe a wdzięczne postacie szwoleżerów.

Konia, tę istotę wrażliwą, nerwową, intelligentną, pobudliwą w najwyższym stopniu, zapalną, umiłował szczególnie artysta. Jest kilka pierwszorzędnej wartości obrazków, których bohaterem jest koń, „Powódź" np. lub „Klacz ze źrebięciem." Na pierwszym ileż wyrazu przerażenia mają w sobie fizyonomie tych dwóch zwierząt zagrożonych śmiercią— o ileż spokojniejszemi są źrenice źrebaka nie odczuwającego w tym samym stopniu niebezpieczeństwa. A na drugim jakież mądre, ile macierzyńskiej jakiejś troskliwości i niepokoju mają w sobie oczy klaczy, napół dzikie, napół jakby ludzkie. Duszę zwierzęcia rozumiał Kossak i odtwarzać umiał.

Doba współczesna pozostawiła też ślady liczne na twórczości Kossaka. Życie galicyjskie barwniejsze od naszego, bogatsze w typy i kostyumy dostarczało mu wiele materyału. Bardzo ładne są obrazki z życia huculów, bardzo ładne koniki stąpające ostrożnie po ścieżkach górskich.

Sfery wyższe przedstawiał nam Kossak w chwilach sportowego entuzyazmu. Mamy więc kilka scen polowania par force, kilku magnatów galicyjskich na swoich wyścigowcach, kilka portretów pań z wielkiego świata konno. Bardzo zajmujące są twarze niektórych dam. Hr Maurycowa Potocka np. ma dziwny spokój pięknego czoła, kontrastujący z oczami pełnemi tajonego ognia, z oczami które możnaby nazwać bohaterskiemi, gdyby wyrazu ich nie osłabiało jakieś znużenie rozlane po całej twarzy.

Obok portretu hr. Jana Tarnowskiego na jakimś koniu wyścigowym, wisi obraz przedstawiający Tarnowskiego hetmana, a dalej trochę Żółkiewski, a dokoła znów wyścigowce poprzezywane „Przedświt," „Kondeusz" i t. p.

Czas skończyć, bo pod pióro nasuwają mi się uwagi, wychodzące poza zakres estetyki, malarstwa i t. p.

H. C.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Dalszy ciąg).

Wyjechali, nie czekając końca sezonu. Jemu było tam duszno, jej za przestronnie. Wobec tego morza, tych skał, tego nieba i tych prostych, tak doskonale do przyrody tamtejszej przystosowanych ludzi, czuli się oboje zanadto — cudzoziemcami.

Ferye upływały dopiero za kilka tygodni, wracali więc do Paryża „rzemiennym dyszlem,“ zatrzymując się po tygodniu w każdem z miast większych; a do niektórych umyślnie zbaczając.

Właściwej żyłki turystowskiej żadne z nich w sobie nie miało. Osobliwościom przyrody i arcytworom sztuki Cieński przyglądał się wzrokiem zimnym, nie zdradzającym przelotnej nawet ciekawości; Wanda czyniła nad niemi uwagi, zdumiewające ogromem—naiwności. Jak większość ludzi, zbyt wyłącznie i zbyt wcześnie naukom ścisłym oddanych, nie odczuwali oni piękna i cenić go właściwie nie umieli.

Mimo ciągłej zmiany miejsca i obfitości coraz nowych wrażeń, dokuczała obojgu nuda. Taili ją wzajem przed sobą, krępowani pewnego rodzaju wstydliwością, właściwą wszystkim młodym, nawet w tak niezwykły sposób skojarzonym małżeństwom.

Bezpośrednią przyczyną nudy była ścisła umysłowa dyeta, na jaką skazali ich lekarze przed wyjazdem. I mężowi, i żonie zabroniono jak najsurowiej prowadzić studya naukowe, czytać uczone dzieła — myśleć nawet o specyalnościach, którym się poświęcali.

Dość dziwny był to zakaz dla małżonków, udających się w podróż poślubną, widocznie jednak nie przedstawiali oni dostatecznej pewności, że sami sobie wystarczą...

Paryzcy lekarze bywają domyślni, a zarazem i pomysłowi. Aby zabezpieczyć się, że zalecenia ich będą wypełnione, straż nad żoną powierzyli mężowi, a nad mężem żonie.

Jeszcze w Paryżu małżonkowie przetrząsnęli nawzajem swoje walizki podróżne, przyczem Wanda skonfiskowała Cieńskiemu grube dzieło o starożytnościach assyryjskich, on zaś zapłacił jej za to wyrzuceniem ukrytych między sukniami „biuletynów“ Akademii nauk.

Pewnego razu, na czwarty czy piąty dzień po przybyciu do pewnego dużego miasta, którego osobliwości już zwiedzili, Cieński rzekł do żony:

— uprzedzić was muszę, że dziś nie będę mógł towarzyszyć wam w wycieczkach na miasto. Nawet obiad bądźcie łaskawi zjeść bezemnie. Pewne drobne, osobiste sprawy zmuszają mnie do wcześniejszego wyjścia z domu.

— To dziwne! — zawołała Wanda prawie z radością — właśnie i ja o toż samo prosić was miałam. Muszę załatwić kilka „babskich“ interesów, przy których współudział wasz byłby zupełnie zbyteczny.

— Więc do widzenia. Wrócę przed wieczorem.

— I ja zapewne nie wcześniej.

Podali sobie ręce. Cieński wybiegł z nerwowym pośpiechem. Można byłoby sądzić, że mu przypięła skrzydła — miłość wiarołomna.

Już zapalano gaz, gdy małżonkowie weszli prawie jednocześnie, ze stron przeciwnych, na werendę kawiarni hotelowej. Każde miało w ręku sporą paczkę.

Przywitali się po koleżeńsku i usiedli przy jednym stoliku. Żadnemu przez myśl nawet nie przeszło wystąpić z zapytaniem:

— Skąd wracasz?—co niesiesz?

Obustronne poszanowanie swobody było pierwszem przykazaniem ich katechizmu małżenskiego.

Po krótkiej, obojętnej rozmowie i przerzucaniu dzienników wieczornych, przeszli do hotelu, gdzie zajmowali dość duży pokój z alkową. W pokoju sypiał mąż, w alkowie zastawionej parawanem żona.

Wandzie pilno było tego wieczora do spoczynku. Prawie zaraz po powrocie, powiedziała Cieńskiemu „dobranoc“ i wślizgnęła się do swej sypialni, nie zapomniawszy zabrać ze sobą przyniesionej z miasta paczki.

Po chwili, była już w łóżku, zakryta zupełnie rozsuniętym na całą szerokość parawanem. Świecę postawiła przy sobie na nocnym stoliczku i szybko, z dziwną jakąś pożądliwością jęła odwijać paczkę.

W paczce były książki.

Pochwyciła leżącą na wierzchu, podniosła do oczu i... odrzuciła na stolik, skrzywiwszy się gniewnie. Następnie zrobiła to samo z drugą i trzecią.

Ściągnęła brwi, pomyślała chwilę i rzekła, unosząc się na pościeli:

— Czy już śpicie?

— Co znowu! — odparł chłopięcym głosem Cieński. Jeszczem nawet ostatniego papierosa nie wypalił. Czy wam co podać?

— Tak. Podajcie mi z łaski swej — moją paczkę.

— Wzięliście ją ze sobą do alkowy.

— Wzięłam, ale nie swoją.

— Jakto?

— Otworzywszy, przekonałam się, że to wasza paczka.

— A!...

Nastąpiła dość długa chwila milczenia. Cieński, widocznie zakłopotany, nie wiedział co mówić. Palił szybko papierosa oraz wydobywał i chował zegarek, wcale nań zresztą nie patrząc.

— I cóż ta paczka?—spytano z poza parawana.

— Paczka?.. Nie wiem o jakiej paczce mówicie?

— O tej, którą z miasta przyniosłam.

— A... a co jest w tej paczce?

Na to zapytanie, które jakby mimowolnie wyrwało się z ust mówiącego, odpowiedziano głosem podniesionym i wyrażającym niesłychane zdziwienie:

— Co to znaczy, panie Cieński? Skąd ta indagacya?

— Wybaczcie...—bąknął nieśmiało mąż Wandy, z krzesła wstając. Ale skoro wam już wiadomo co mieściło się w mojej paczce, więc... zdawało mi się... wyobrażałem sobie... że... że...

Wanda przecięła krótko te dowodzenia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Żeńskie kursa im. Baranieckiego w Krakowie.

Zapewne przypomną sobie czytelnicy, że przed dwoma niespełna laty szeroko dosyć omawianą była w prasie warszawskiej sprawa zachwianych, jak się zdawało, kursów kobiecych wyższych. Owo zachwianie przypisywano radzie miejskiej krakowskiej, która w samej rzeczy dosyć ignorowała podówczas instytucyę niewątpliwej użyteczności publicznej, powstałą staraniem człowieka dobrej woli i światłego umysłu. Pobieżnie chociaż chcemy zdać dzisiaj sprawę z kolei, jakiej w ciągu lat ulegały kursa żeńskie, zwłaszcza że obecnie, gdy ostatecznie zyskały one stałą podstawę, możemy ich przyszłość widzieć w świetle pomyślniejszem.

Ś. p. dr. Baraniecki wyszedł z założenia, że wykształcenie wyższe kobiet małej zamożności było u nas zadaniem prawie nie do osiągnięcia. Brak zakładu podobnego czuć się dawał dotkliwie, więc choć oceniał sam założyciel niedostateczność środków, postanowił rozpocząć z tymi, którymi rozporządzał. I ten zawiązek jednakże oddał swoje usługi. Przez ciąg dwudziestotrzyletniego istnienia kursów, przeszło przez nie 2,000 z górą słuchaczek, o tyle zatem zyskaliśmy lepiej rozwiniętych umysłowo nauczycielek prywatnych, o tyle więcej światlejszych matek rodziny i ewentualnie samodzielnych wychowawczyń dzieci.

Wadliwem było w roku 1396 połączenie tych kursów ze szkołą św. Scholastyki, która znosiła ich samoistność, a nadto nie uwzględniała tym sposobem najżywotniejszej z potrzeb, dla której powstała ta instytucya. Było to następstwem systemu oszczędnościowego, którym się rządziła w zapatrywaniach swoich na potrzebę wyższego wykształcenia u kobiet rada miejska krakowska; obecnie zaszły zmiany nader ważne i w samym programie nauczania i we względzie wysokości potrzebnej zakładowi subwencyi pieniężnej.

Radca miejski p. Kazimierz Bartoszewicz w tych słowach streszcza zapadłą w sprawie kursów ostatnią uchwałę krakowskiej municypalności:

„Kursa, literacki i przyrodniczy, trwać będą od 1 Października do 1 Czerwca, a więc przez miesięcy 8 w roku. Każdy kurs mieć będzie 3 godziny wykładów dziennie, przez co podwojoną została ilość godzin nauczania. Nadto wprowadza nowa ustawa przedmioty wspólne dla obu wydziałów. Dotąd naprzy-

kład pedagogika, historya filozofii i etyka wykładane były tylko na wydziale literackim, tak jak znowu ekonomia, kosmografia i geografia tylko na przyrodniczym.

Na radzie miejskiej p. Bartoszewicz, a za nim większość uznali te przedmioty jako ogólnie kształcące.

Wspólne wykłady rozszerzają też w nowym obecnym programie zakres dotychczasowy — zbyt wyspecyalizowany. Z nowych przedmiotów powprowadzała instrukcya: biologię, historyę kościoła, historyę polską epoki ostatniej.

Nie jest to zapewne plan idealny, należałoby go jeszcze rozszerzyć, ale sekcya szkolna, przez którą przechodziła ustawa, liczyć się w tej chwili musiała z materyalną możnością gminy. Stanęło na tem ostatecznie, że dotychczasowe wydatki wzrastają przy reformie z 2,900 reńskich na 6,184. Jest to jak się zdaje wszystko, czego po radzie miejskiej na tę chwilę spodziewać się było można.

Najważniejszą korzyść widzimy w tem, że miasto bierze kursa na siebie, przez co wychodzą one z charakteru tymczasowości, a wzamian za to będzie na przyszłość dyrektor kursów wybierany przez sekcyę szkolną.

Co do planu nauk, to przedstawia się on dzisiaj w całości tak:

I. *Wydział literacki* (ogółem godzin 580).
Przedmioty: Historya polska dawna (87 g.)
nowa (29 godzin).
Historya powszechna (g. 145).
Historya sztuki (g. 87).
Historya literatury polskiej (g. 116).
„ „ powszechnej (g. 116).

II. *Wydział przyrodniczy.*
Przedmioty: Matematyka (g. 87).
Fizyka (g. 101).
Chemia (g. 101).
Biologia (g. 29).
Geologia i Mineralogia (g. 43½).
Botanika (g. 77).
Zoologia (g. 72).
Fizyologia (g. 58).

III. *Wykłady wspólne obu wydziałów* 464 g. (Z przedmiotów oznaczonych * uczennice muszą zdawać na dyplom).
Przedmioty: Kosmografia (g. 29).
Geografia (g. 58).
Etyka (g. 29).
*Pedagogika (g. 14).
Ekonomia (g. 72).
Historya filozofii (g. 58).
*Hygiena (g. 29).
O elementarnych zjawiskach życia (58).
Literatura polska XIX wieku (g. 58).
Historya kościoła (g. 29).

IV. *Wydział artystyczny.*

Niższy kurs rysunków	2 razy tygod.	po	2 g.
Wyższy „	4	„	„ 2 „
Kurs malarstwa	3	„	„ 2 „
Kurs wieczorny niższy	3	„	„ 2 „
„ „ wyższy	3	„	„ 2 „

I. M.

R. Kipling.

JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ.

Tłóm. z angielskiego M. G.

(Dalszy ciąg).

— Na co wam potrzeba wstążek? Czy chcecie bawić się w konie?—zapytała matka Patsie, wchodząc na werendę

— Toly chce mojej szarfy! — zawołała Patsie.

— Już nie chcę! — pośpieszył z zaprzeczeniem jego królewska mość, czując, że jego biedna tajemnica zostanie mu gwałtownie wydartą przez tę „dużą osobę,“ a może, co najokropniejsze ze wszystkiego, i wyśmianą niemiłosiernie.

— Dam ci czapeczkę zamkniętą w rurce, która wystrzeli, gdy ją pociągniesz za oba końce—pocieszała go komisarzowa. — Chodź ze mną Toly, i sam wybierz z pomiędzy kotylionowych przyborów.

Z rurki wyskoczyła wspaniała karmazynowa ze złotem szpiczasta czapeczka. Jego królewska mość ozdobił nią swoje zmarszczone czoło. Matka Patsie miała w swej twarzy coś, co budzi ufność w dzieciach, a ruch jej przy układaniu opadającego czuba czapeczki, miał odcień macierzyńskiej serdeczności.

— Czy to będzie tak samo dobre? — zapytał król.

— Tak samo dobre, jak co? mój maleńki...— zagadnęła komisarzowa.

— Jak szarfa?

— Zupełnie tak samo. Chodź i przejrzyj się w zwierciadle.

Komisarzowa miała na celu ułatwienie maskarady ułożonej przez dzieci. Ale mały dziczek miał głębokie poczucie śmieszności. Przechylił wielkie stojące zwierciadło i zobaczył swoją głowę uwieńczoną tem jaskrawem straszydłem, podobnem do błazeńskiej czapki, którąby ojciec podarł w kawałki, gdyby zobaczył ją kiedy w progach swojego pokoju. Jego królewska mość zerwał coprędzej z głowy ten strój i zalał się łzami.

— Toly! — powiedziała komisarzowa z powagą — nie poddawaj się kaprysom. Bardzo mi przykro że to widzę. To bardzo źle!

Jego królewska mość szlochał z rozpaczą, aż serce komisarzowej wzruszyło się. Wzięła dziecko na kolana. Widocznie nie były to kaprysy, ale coś innego.

— Co to znaczy, Toly? Czy mi nie powiesz? Może jesteś słaby?

Potok łez i bezładnych wyrazów walczył jakiś czas ze szlochaniem i spazmatycznem zanoszeniem się. Nagle w gwałtownym wybuchu jego królewska mość ulżył sobie, wyrzucając zagadkowe słowa:

— Idź precz! ty szkaradny brudasie!

— Toly! co ty wygadujesz?!

— Onby tak powiedział! Ja wiem! Powiedział to już raz, kiedy na mojej sukience była plamka od jajka! I to samoby powiedział i wyśmiałby mnie, gdybym przyszedł w tem na głowie!

— Ktoby powiedział?

— Mój tatuś! A ja myślałem, że gdybym miał niebieską szarfę, toby mi pozwolił bawić się w koszu z papierami, który stoi pod stołem.

— Jaką niebieską szarfę? Co to znaczy?

— Tę samą co Patsie, owiązaną na mojej kurteczce!

— Co to znaczy, Toly? Masz coś innego na myśli. Powiedz mi wszystko, a może będę mogła ci dopomódz.

— To nic!.. — wyszlochał król, podnosząc główkę złożoną na macierzyńskiem łonie komisarzowej. — Myślałem, że pani... że pani kocha Patsie dlatego, że ma taką ładną niebieską szarfę i że... może i mnieby mój tatuś kochał, gdybym miał taką samą...

Tajemnica wydała się, a jego królewska mość szlochał długo, pomimo obejmujących go czule rąk komisarzowej i jej pocieszających tkliwych słów, szeptanych nad jego rozpaloną główką.

Wbiegła z hałasem Patsie, wlokąc za sobą ojcowską szpicrutę.

— Chodź Toly! Pod werendą siedzi jaszczurka *chu-chu*; powiedziałam Chimowi, żeby jej pilnował. Uderzymy ją tatusiną szpicrutą po ogonku, to ogonek odpadnie i będzie się kręcił po ziemi. Chodź Toly! Prędko!

— Idę! — zawołał król, zeskakując z kolan komisarzowej, którą ucałował z pośpiechem.

W parę minut potem ogon jaszczurki wił się na macie werendy, a dzieci z wielką powagą trącały go szpicrutą, pobudzając resztki żywotności, wywołującej ruchy, „bo to już nie boli jaszczurkę.“

Komisarzowa stała we drzwiach i przyglądała się dzieciom.

— Biedny, mały robaczek! Niebieska szarfa!.. i moja droga Patsie! Myślę, że żadne z nas rodziców, najwięcej kochających, nie jest w stanie zrozumieć, co dzieje się w tych małych głowinach...

Duża łza spadła na ślubną obrączkę komisarzowej, gdy wróciła do domu, by przygotować herbatę na przyjęcie jego królewskiej mości.

— Chciałabym, żeby mnie pani Austell zrozumiała... Biedny chłopczyna!

Z tą rachubą w sercu komisarzowa odwiedziła panią Austell i rozmawiała z nią długo i serdecznie o dzieciach, rozpytując się szczegółowo o jego królewską mość.

— Jest z boną—odparła pani Austell, a ton jej głosu zdradzał, że ją ten przedmiot rozmowy nie zajmuje.

Komisarzowa niebiegła w sztuce dyplomatycznej, wypytywała się dalej:

— Nic nie wiem—odpowiadała na pytania pani Austell. — To wszystko zostawiam miss Biddums; ona naturalnie, nie zrobi dziecku krzywdy.

Komisarzowa pożegnała się spiesznie. Ostatnie wyrazy pani Austell rozdrażniły jej nerwy.

— „Nie zrobi dziecku krzywdy!“ Jak gdyby to wystarczało! Coby też Tom powiedział, gdyby moja opieka ograniczała się tylko do „nie robienia krzywdy“ Patsie!

(*Dokończenie nastąpi*).

KRONIKA.

Z prasy.

Feljeton 133 numeru „Gazety Polskiej“ zajmuje się rozbiorem krytycznym niektórych utworów poetycznych doby ostatniej, a zarazem daje ocenę szkoły i kierunku, popierając sądy swoje cytatami rymotwórców i wyjątkami nierymowanymi z manifestu przedstawiciela szkoły. Przed dwoma z górą miesiącami pomieścił i „Tygodnik“ słów kilka, tłómacząc się przed czytelnikami z zapatrywań swoich na tę całą niefortunną robotę, w przekonaniu, że do obowiązków piśmiennictwa peryodycznego należy zupełnie szczere wypowiedzenie się, odnośnie do wszystkich podobnych zamachów na smak dobry, rozsądek zdrowy, a bardzo często i na podstawowe pojęcia o tem, co uważać należy jako ludzkie albo nieludzkie.

Feljetonista „Gazety Polskiej,“ wyrażając swój żal z powodu ukazania się tego dziwactwa jałowego na bogatej niwie naszej poetyckiej twórczości, mówi o niem surowo, ale bez namiętności, sądzi je sprawiedliwie, ale bez uprzedzeń najmniejszych; rozróżnia utalentowanego zkąd inąd przedstawiciela szkoły od jego nieudolnych przedrzeźniaczy, a w końcu dziwi się nadzwyczajnej bucie, z jaką wdziera się ten krzykliwy, choć z łaski Boga niezbyt liczny zastęp, na miejsce, które mu jest nie do miary i nie do wartości. Gdyby też nie ta pycha bezgraniczna, gdyby nie ta chętka śmieszna usadowienia się nietylko obok świeczników poezyi naszej, ale o bardzo wiele wyżej niż się oni sami mieścili kiedykolwiek, możnaby o tem mówić z większą pobłażliwością, ale dzisiaj muszą autorowie niefortunnych mdłości poetyckich własnej bucie przypisać stanowczy ton, w jakim ich piśmiennictwo przywołuje do oprzytomnienia.

Przez pamięć na spuściznę poetycką, pozostawioną przez Sotera Rozmiara Rozbickiego, nazywa feljeton „Gazety Polskiej“ ten kierunek Neo-Soteryzmem, jakkolwiek między dwiema szkołami są różnice bardzo rażące. Tamten po części biedak, po części filut, świadomie zupełnie bawił czy śmieszył tych, co się niezbyt wybredną zadawalniali humorystyką, a wzamian żądał kilku groszy jałmużny jedynie; ci panowie dzisiejsi bawią wprawdzie, ale bawią mimo wiedzy i woli, a wzamian za czcze natchnienia śni im się o hołdach i uwielbieniach.

Wątpimy, aby się te sny ziściły kiedykolwiek.

Sprawy miejskie.

Dworzec centralny, którego plan opracowywany jest obecnie w wydziale drogowym kolei Warszawsko-Wiedeńskiej stanie na miejscu dzisiejszego, ale posuniętym będzie więcej ku Alei Jerozolimskiej. Z dworcem tym łączy się projekt odnogi, mającej skomunikować go z kolejami prawego brzegu Wisły i dla tego celu wykonywane są trzy projekty mostu kolejowego na Wiśle w kierunku przedłużenia Alei Jerozolimskiej. Pierwszy z tych planów przedstawia most mający służyć wyłącznie do użytku kolejowego — drugi składa się z dwóch kondygnacyi, górnej i dolnej, z których pierwsza przeznaczoną jest dla ruchu pociągów, druga dla komunikacyi kołowej i pieszej. Trzeci plan przedstawia również most o dwóch kondygnacyach, z tą różnicą, że przeznaczenie kondygnacyj jest odwrotne, jak w wyszczególnionym powyżej. Ministeryum pozostawia sobie wybór jednego z tych trzech typów mostu.

Na wystawę Paryzką.

Pewne przedsiębiorstwo francuzkie przypomniawszy sobie o istnieniu Warszawy, otwiera u nas biuro organizujące podróże zbiorowe na wystawę Paryzką. Towarzystwo bierze, jak donoszą pisma codzienne, podróżnych w opiekę czy kuratelę na miesięczny okres czasu, obiecując wzamian za 200 rs. bilet kolejowy na przejazd tam i z powrotem, życie w bufetach dróg żelaznych, mieszkanie i wszystkie potrzeby w Paryżu, a nadto wejście na wystawę i dziesięć biletów do teatrów paryzkich. Komu nie jest przeciwną myśl sama, że się jest niejako przedmiotem wziętym w antrepryzę, ten niechaj ryzykuje 200 rs., nie zaniedbując w każdym razie zaopatrzenia kieszeni w zasoby dodatkowe, bo gdyby przedsiębiorcy okazali się niedosyć wyrozumiałymi, training miesięczny mógłby się wydać zbyt długim.

Szpitale warszawskie.

Szybki wzrost Warszawy daje znać o sobie między innemi i ciągłym brakiem miejsc po szpitalach tutejszych. Tak naprzykład szpitalik dziecinny przy ulicy Aleksandrya, powstały jak wiadomo z ofiar prywatnych, okazuje się już dzisiaj zupełnie niewystarczającym, co jest o tyle przykrzejszem, że do szpitali ogólnych dzieci przyjmowane nie bywają. W radzie miejskiej podjęto więc projekt wybudowania nowego szpitala dla dzieci z funduszów podatku szpitalnego.

Tak samo wymaga i szpital św. Ducha znacznego rozszerzenia, a w tym celu zatwierdziła rada miejska dobroczynności publicznej na jednem z ostatnich posiedzeń swoich, projekt nabycia dwóch sąsiednich posesyi, położonych przy ulicy Elektoralnej pod numerami 8 i 10. Szpital ten jest jednak dosyć bogatym, posiada bowiem oprócz placów przy ulicy Leszno, umieszczoną w Banku Państwa gotowiznę w kwocie rs. 340,000.

Projekt założenia szpitala dla robotników przedstawiony radzie miejskiej, został sformułowany w ten sposób. Na urządzenie, fabryki i zakłady przemysłowe złożyć mają jednorazowo po 1,500 rs. na każde łóżko, na ambulatoryum zaś składać rocznie po 150 rs. od łóżka szpitalnego. Opłata dzienna za utrzymanie robotnika w szpitalu wynosić ma rs. 1. Przy wszystkich szpitalach miejskich urządzone być mają ambulatorya bezpłatne dla przychodzących chorych robotników z wydawaniem lekarstw bezpłatnem.

Wskazówki i rady.

Rosół.

Dlaczego tak rzadko rosół jest dobry?—oto pytanie, na które nie każda gospodyni zajmująca się kuchnią umie odpowiedzieć. Rachując na osobę pół funta mięsa, a najwyżej 3 funty na 5 osób, rosół powinien być dobry. Należy mięso w kamiennym garnku bez płokania nalać zimną wodą pół garnca na 4 lub 5 osób i zaraz wstawić na ogień. Jak się zagotuje na większym ogniu przestawić garnek na mały ogień i bez szumowania (od 15 lat nie szumuję, patrz „Kurs gospodarstwa“ autorki „365 obiadów“ wydanie 2) włożyć opłókaną i pokrajaną włoszczyznę, pietruszki i marchwi nie żałować, selera niewiele, bo ten kwas robi w rosole, 2 małe suszone grzybki lub lepiej pieczarki, kawałek kwiatu muszkatołowego i jedną upieczoną pod blachą cebulę. Strzedz się angielskiego ziela i t. p. korzeni, które są ordynarnym dodatkiem ostrym. Niech się tak gotuje pod pokrywą godzin 3 do 4 na wolnym ogniu. W razie gdyby się zbyt wygotował dolać zimnej wody, nigdy gorącej. Kto chce mieć mocniejszy, niech wkraje, strugając ostrym nożem, kawałek bulionu, a rosół będzie wyśmienity. Gotowanie oddzielne bulionu i wlewanie go następnie na wazę daje smak przeważnie bulionu, czego w rosole należy unikać. Dodanie dróbek od drobiu podnosi smak, a w razie dodania cielęciny należy ją oddzielnie sparzyć czyli zblanżerować i dopiero włożyć w gotujący się rosół. Bulion używać krajowy, bo jest bardzo dobry, ale nigdy Kleczkowskiego, który dodaje nogi baranie. Podając rosół, odstawić z ognia na parę minut i przez gęste sitko cedzić do wazy. Zaręczam, że będzie czysty jak łza, bo nauczyłam się gotować bez szumowania na obiedzie doktorskim u W. D. Skórczewskiego w Krynicy — szumowanie i płokanie mięsa zabiera bardzo wiele smaku.

Zwracam uwagę czytelniczek na nowość zamieszczoną w 18 wydaniu „365 obiadów“ na str. 410 w rozdziale 14, gdyż były spóźnione w druku „kluseczki royal“ do rosołu.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W-na W. Obn. w Mohylewie. „Tygodnik“ wysyłamy od 1 Stycznia. Jeśli utwór, o którym mowa w liście, odpowie warunkom, może być drukowanym. Nadesłać można pod adresem Redakcyi Chmielna 26.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Ценэурою Варшава 9 Іюня 1899 г. Warszawa. Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Podbiegł i wyjrzał; nie umiał zdać sobie sprawy — oczom własnym nie mógł uwierzyć.

Na dworze igły można było zbierać. Niebiosa stały w ogniach; czerwona łuna opasywała widnokrąg, do koła dym gęstemi kłęby wywijał się, unosząc w obłoki roje trzeszczących iskier; z chmurnego zamętu, tu i owdzie błyskały płomienie. Dalekie krzyki, nawoływania i jęk kościelnego dzwonu, okropnie wtórowały przerażającemu obrazowi.

Drzwi otwarły się z łoskotem; wpadł wybladły służący, zatrzymał się, ledwie mógł jąkać słowa:

— Panie!... gore... pożar — wszystko w ogniu!

Wilczek nie dosłyszał ostatnich wyrazów; już był na dole w przedsionku, gdzie całe towarzystwo zerwane ze snu, wylękłe, zgiełkliwie dopytywało się o przyczyny i szczegóły klęski.

Wybieżono na dziedziniec. Łuna z dwóch stron biła na pałac; od wjazdu, płonęły stodoły, spichrze, dworskie zabudowania; od ogrodu, w oddali, gorzał jak świeca domek Nastusi.

Wszyscy hurmem sypnęli się ku płomieniom; walka z niszczącym żywiołem obudziła powszechną energię.

Wilczek objął dowództwo nad zastępem; obecność jego, donośny głos, rzadka przytomność umysłu, ład wprowadziły w pomięszaną ciżbę. Kto żył, spieszył do ognia; rozstawiono koleje z wiadrami, łamano zajęte płomieniem dachy, osłaniano mokremi płachtami przyległe budynki. Goście, domownicy, lud wiejski, wyprzedzali się w dzielnej pomocy; wszystkie siły ratunku skupiono w jedno miejsce. Wilczek surowo zabronił zajmować się ocaleniem domku w ogrodzie, postanowił poświęcić go na pastwę płomieniom — dla nierozdzielenia sił, jak mówił — a może też i dla innych tajemnych powodów, których przed nikim nie wyznał.

Śród łomu i trzasku, dymu, płomieni i rozżarzonych popiołów, ukazywała się wyniosła postać pana włości, grzmiał głos jego rozkazów, groźnie świeciły roziskrzone oczy, i gawiedź posłuszna na oślep waliła się w niebezpieczeństwo—w morderczy żywioł, który rozbity zapędem człowieczej woli, zaczynał zwijać ogniste swoje proporce.

Szala zwycięztwa przechyliła się na stronę ludzkich usiłowań.

Nad rankiem, przyduszony płomień gdzieniegdzie tylko pełzał po zgliszczach, dym czarnemi płachty kopcił się jeszcze nad ziemią; tu i owdzie tliły głownie, ale ważniejsze budynki były ocalone. Pożar zniszczył próżną, szczęściem stodołę i folwarczną wozownię; obory, owczarnie i spichrze uratowano.

Domek Nastusi spłonął do szczętu. Zdaleka, między zielenią, jak upior, jak trup wyniesiony z kostnicy, sterczał szary, ogryziony płomieniem dymnik, smętny mogilnik rozpustnych uciech magnata i nieszczęsnej doli wiejskiej dziewczyny. Śród dogorywającego pogorzeliska, słup ten, groźnie, rozpacznie odbijał się na niebios błękicie, rozkrywał i gruzami wypisywał tajemną historyę domku, dopominał się u okolicy o pożałowanie i zemstę.

Wilczek zrozumiał ukryte znaczenie strasznego hieroglifu; wzdrygnął się, odwrócił oczy, przywołał dozorcę i rozkazał, aby kilkunastu ludzi z motykami, do wieczora, śladu mu nie zostawiło z rumowisk. Wypalone miejsca miały być natychmiast pokryte świeżą darnią; ogrodnik otrzymał polecenie przesadzenia żywcem rozrosłych krzewów i drzew na grunt dotknięty pożarem.

Wilczek odetchnął na samą myśl zrównania z ziemią bolesnych pamiątek; przypadek dziwnie mu wygadzał, uwalniając go od natrętnego widoku domku sieroty.

Przypadek!... Miałżeby w istocie przypadek być jedyną przyczyną klęski?

W pierwszej chwili gwałtu, gdy głównie szło o zapanowanie nad ogniem, gdy wszystkie myśli i siły wytężały się ku temu jednemu celowi, nie było czasu dopytać się, ani dobadać prawdy. Skoro atoli minęło niebezpieczeństwo, uwaga pobiegła ku wnioskom; goście, domownicy i sam gospodarz, wzięli stróżów nocnych w obroty, pilnie zważając na każde ich słowo.

Stróże nie umieli dać zaspakajającej odpowiedzi; jeden przysięgał, że w chwili, gdy obchodził wioskę, nagle ujrzał płomień na dachu wozowni; drugi klął się, że gdy wracał od karczmy ku pałacowi, stodoła z dwóch rogów razem zapłonęła; inni, równie ciemne dawali tłumaczenia; żaden, nieszczęsnym trafem nie znalazł się w stanowczej porze tuż przy zażegniętych budynkach — z samego atoli rozpołożenia pożaru wypadało, że na prosty przypadek niepodobna było składać winy, tembardziej, że ogień w tymże czasie zajął gospodarskie zabudowania i znacznie odległy, a oddawna nie zamieszkany domek Nastusi.

Złość ludzka oczywiście była jedyną sprawczynią klęski. Ale kto podpalił, z jakich powodów, gdzie kryła się nić zbrodniczego zamachu, w jakim związku znachodziło się zabójstwo Lumpmana z podłożonym ogniem? — każdy wpadał na tysiączne domysły—nikt wątku prawdy nie dostrzegał; nie jeden nadzieję wykrycia zbrodni kładł w sądownictwie; byli i tacy, którzy głęboko wierzyli, że sąd z niczem odjedzie.

Z dworskich, kuchcik tylko mógł był wprowadzić na pewne poszlaki. On jeden późno wróciwszy z karczmy, w obawie pięści kucharza, spędził resztę nocy na szorowaniu rądli; on pierwszy dostrzegł płomień, wybiegł na dziedziniec, wpadł do ogrodu i ujrzał zdaleka, mknące od domku dziewczyny, w pole, na przełaj, dwie postacie, z których jedna kaducznie przypominała mu urlopnika wachmistrza.

Spostrzeżenia te acz mgliste, niepewne, mogły były wszelako pomódz do wydobycia na jaw zagadki, ale kuchcik, nieraz przy ognisku, nasłuchał się dowoli o niewygodach świadczenia przed sądem, wiedział, że komisya łakoma wyznań dobijała się o nie wszelkimi sposoby, wtedy nawet, gdy świadek przysiągłszy na Bożą mękę, nic więcej nie miał do powiedzenia. Piotruś troskliwy o własną skórę, zacisnął zęby i roztropnie przysiągł sobie nie mięszać się do żadnego innego, prócz do kuchennego ognia.

Tymczasem pożar dogasał, zmęczenie natomiast owładało całonocnych, dzielnych pracowników. Przyniesiono wiejskiemu ludowi wódki, polecono mu ostateczne przytłumienie zabłąkanych iskier; służba i goście, wycieńczeni na siłach, jedni za drugimi zdążali na spoczynek.

Wilczek wracał ostatni; nie chciał słuchać pochlebnych uniesień, z jakiemi rozwodzono się nad zadziwiającą jego odwagą, nad sposobnościami do przywodzenia ludziom w ważnych wypadkach. Szczerniały od dymu, okryty popiołem, wszedł samotnie do swego pokoju; wyzwane walką siły nagle wypowiedziały mu posłuszeństwo, rozkurczyły się wytężone nerwy—padł jak bez duszy na łóżko, legł nie snem, lecz letargiem—nie spoczynkiem ale niemocą—bezwiednem przedłużeniem najawnych udręczeń.

Zmrok poczynał już gęstnieć, noc zapadała, gdy ocknąwszy się po długiem bezwładzie, gospodarz zebrał myśli, spojrzał na zegarek, przypomniał że gości miał w domu, że od rozłączenia się z nimi przy ogniu, dzień czasu upłynął.

Porwał się żywo, zbiegł na dół; kilku tylko towarzyszów zastał posępnie rozmawiających z Juliuszem, reszta nie chcąc mu obecnością powiększać kłopotu, spisała na arkuszu wesoły, pożegnalny list i rozjechała się do domów. Ostatni nawet, oddawna kazali już zaprzęgać, niespokojni atoli o zdrowie przyjaciela postanowili czekać z odjazdem do jego przebudzenia.

Wilczek pół gębkiem ich zatrzymywał, na jeden jeszcze nocleg zapraszał—w duszy rad był, że go zostawiano samego; obowiązki gospodarza dopiekały mu w tej chwili rozpalonem żelazem.

Niebawem pusto było w pałacu — pan domu, wsparty na ramieniu Juliusza, zadowolonem okiem ścigał ostatnią uježdżającą bryczkę.

Turkot kół tonął w oddali; Wilczek błędnemi oczyma spoglądał przed siebie na wyszczerbiony pożogą szereg zabudowań — zadrżał konwulsyjnie i prędkimi wyrazy rozkazał służbie natychmiast gotować się do wyjazdu. Po tylu zaszłych wypadkach odrażał go dłuższy pobyt na wsi. Morderstwo Lumpmana i tuż w ślady za niem podłożony ogień, zdawały się otwierać przed nim pasmo

coraz straszniejszych zamachów. Obecność jego może ściągała na rodzinną siedzibę nieszczęścia; umyślił wydrzeć się czemprędzej nieubłaganemu przekleństwu, naglił o wyjazd, jak gdyby gnało go całe piekło.

Juliusz nie wchodził nawet w przyczyny gwałtownego postanowienia, i sam niechętnie byłby marnował dłuższy czas na wsi; to też potakującym wzrokiem patrzył na rozsypkę towarzystwa, przyjmował Wilczka w swoje objęcia, uwoził go tam, gdzie zdaniem jego ważniejsze sprawy obu ich powoływały.

Przyjaciele w milczeniu wskoczyli do powozu, konie ruszyły z kopyta; Juliusz przez drogę dał folgę swoim zamiarom, rozważał, układał w myśli wypadki, stawiał w przyszłości skutki, dociekał w teraźniejszości ich sprężyn.

Nazajutrz wieczorem, zapylony powóz zatrzymywał się we Lwowie. Juliusz zmieniwszy odzież, wyszedł niezwłocznie na miasto; Wilczek, orzeźwiony nieco podróżą, wyzwolony z przykrych widoków, pierwszy raz uśmiechnął się do nadziei wytchnienia, do chwili spoczynku.

Znalazł w istocie spoczynek dla ciała; zmiana siedliska, ruch miejski, który od niejakiego czasu zaczynał mu być niezbędnym do życia, powróciły go wkrótce do sił.

Trudniej szło ze spokojem dla duszy.

Oprócz wspomnień dotkliwych, straszna rzeczywistość występowała mu ciągle przed umysł. Dochodził go zdaleka szatański gwar wierzycieli — jeszcze pół roku najwięcej, jeszcze kilkadziesiąt przeklętych dni, z których każdy tak prędko upływał, a ze świetnego pańskiego bytu łachman nędzny mu tylko zostawał. Wilczek byłby dyabłu duszę zaprzedał i szablą później zwrot cyrografu wyrąbał byle do Wiednia lub dalej uciec od pozwów, procesów, wywłaszczeń majątku i ostatecznej zatraty.

Nie było o czem wyjechać za granicę. Juliusz obiecywał mu pomoc, ale kładł swoje warunki; Wilczek mógł prędzej znieść zagubę, niż upokarzające poddanie się samowładztwu Juliusza. Rady przyjmował, słuchał ich niekiedy, między radą atoli a niewolnictwem, leżała niezgłębiona otchłań pańskiej godności i dumy.

Juliusz przewalający się na złocie, uchodził tylko za bogacza; Wilczkowi równie trudno było przestać być panem, jak człowiekiem.

Wbrew zwyczajom, tym razem nie otworzył domu na rozcież; przykazał nieprzyjmowač nikogo, wymówił się chorobą i zamknął na kilka dni u siebie, spragniony samotności i chciwy swobodnej myśli, która miała dopomódz mu do wyłamania się z niepomyślnych obrotów.

Wilczek czuł się panem swego położenia, tam, gdzie odwagą lub wstępnym bojem można było się przebić; ku chytrym wykrętaniom się przeciwnemu losowi nie miał żadnej zdolności, nie umiał płaszczyć się ani uginać; pojmował upadek albo zwycięztwo — ze wstrętem odwracał oczy od wszelkich z nieszczęściem układów.

Takim przynajmniej trybem kroczył dotąd przez życie — czyliż dalej potrafiłby zboczyć z przyrodzonego sobie kierunku? — sama konieczność i następstwa wypadków mogły zawyrokować. Ztąd też i przyszłość nie objawiała mu żadnej nadziei ratunku; ręczne siły nie zdołały ostać się przeciw oczywistej zatracie — zguba niechybnie musiała nastąpić.

Przeszłość natomiast wystąpiła przed nim w jaskrawych barwach, w głębokich wrażeniach.

Pozostawały mu: młodość, zapas dzielnych sił, popęd ku życiu — ku różnemu wszelako od tego, jakie dotąd prowadził. Przesyt hałaśnych uciech ogarniał wszystkie jego władze, niesmak i czczość hucznych rozkoszy dokuczliwie dawały się mu we znaki, błędne jakieś poczucia obowiązków obywatela, majaczyły mu przed sumieniem — w samolubnem życiu, osadzonem jedynie na rozszalałych namiętnościach, bezowocnem, ba, nawet zgubnem często dla drugich, nikczemne dusze mogły tylko znachodzić zadowolenie.

Pora była wejść w samego siebie, wyszlachetnić swą istotę we własnych oczach, pokazać światu, że kto umiał być pierwszym w pogoniach za szałem, ten skoro zechce, nie pozwoli wyprzedzić się na drodze zacnych usiłowań.

Czas było odrodzić się—zacząć inne życie.

Wilczek spojrzał na rozłożone przed sobą papiery, na złowrogie szeregi liczb, wypisujące mu groźny wyrok Baltazarowej biesiady.

Zapóźno!... po niewczasie sny błogie marzyć, zapóźno układać zbawienne zamiary! Wszystko stracone!

Precz z płonną nadzieją, głupców pociechą — niechaj pełni się przeznaczenie! Dalejże — wchodźcie hurmem troski, zgryzoty, nieszczęścia! — skazany czeka was z uśmiechem pogardy na ustach, z rozpienionym w dłoni kielichem! — bierzcie go jak waszą własność, tylko czemprędzej do dzieła!... Przyzwoitemu człowiekowi zginąć wolno; targować się, nudzić — nie wypada.

Wilczek widząc się od kilku dni samotnym u siebie, wybuchnął śmiechem nad pustelniczymi swymi napady, zamrużył oczy na przyszłość — cokolwiek los mu gotował — postanowił do ostatniej chwili drwić z jego pocisków i nieść jak zwykle, dumną i wesołą głowę przed światem.

W mieście zaczynano pilnie dopytywać się o pobudki jego odosobnienia; mnodzy przyjaciele, z każdym dniem zaciętszy szturm przypuszczali do drzwi. Wilczek sam sobą znudzony, z radością wracał do dawnych zwyczajów.

Przesilenie to łatwem było do przewidzenia dla każdego bliżej obznajmionego ze zmiennym charakterem przywódcy galicyjskiej młodzieży. Juliusz oczekiwał niezawodności przewrotu z niezawodnością nocy po dniu, nie starał się bynajmniej przerywać przyjacielowi naturalnego rozwoju myśli, tem bardziej, że sam potrzebował uprzątnąć wprzód niektóre zawady, usposobić grunt do przyjęcia ziarna ważnych dla obu zamiarów.

Od powrotu do Lwowa, ścigał wszędy jak cień za Dahlmanem, zakradał się mu w łaskę, skarbił pochlebstwem jego przychylność, rozpowiadał z niechcenia, przy bankierze, o świetnych w Wiedniu Wilczka stosunkach, o przyjaźni, jaką zaszczycali go pierwsi dygnitarze Cesarstwa i sam książę kanclerz, o wziętości, znaczeniu i wpływach, jakie młody magnat potrafił zjednać w towarzystwach stolicy; przytaczał anegdoty żywe, zabawne, dowodzące poufałości Wilczka z poplecznikami tronu, o blasku, jaki roztaczały wrodzone jego zalety i znakomite urodzenie — rzecz dziwna na pozór — znawstwa nawet na handlu i szczególniej przebiegłości w przemysłowo gospodarczych interesach.

Towarzystwo wtórowało mu jednozgodnie. Lwów dla samego przekonania o swojej wartości, musiał potwierdzać zdanie stolicy; Wilczek w Wiedniu był tylko gwiazdą; w Galicyi, jasnem następstwem i stopniowaniem pojęć, błyszczał jak słońce.

Opłakiwano nadwerężone jego zdrowie, wzdychano za polepszeniem, każdy ubiegał się o pierwsze odwiedziny ulubieńca samego księcia kanclerza.

Dahlman, łapczywie pnący się na szczeble wykwintnego tonu, obyczajem spanoszonych, donośniej od wszystkich łączył swój głos do powszechnego chóru; sam u drzwi Wilczka złożył już był dwa wizytowe bilety, łaskawie przyjmował względy Pyladesa jego Juliusza, który zwłaszcza od powrotu z Wiednia i od złożenia w jego kasie znacznych kwot, nabrał w bankierskich oczach niepospolitej wartości. Słowo ludzkie i bez tego mało pewne znaczenie, ale z ust człowieka rozrządzającego sutym zapasem gotówki, mogła płynąć tylko święta, niezaprzeczona prawda.

Dahlman z miłem uczuciem brał publicznie pod rękę Juliusza, rad pokazywał się z nim na przechadzkach i pozwalał otaczać wyraźną grzecznością i szacunkiem nielada. Juliusz i jedną i drugim opychał go bez miary. Biegle przemyślany zamiar rozwijał się z niesłychaną pomyślnością; należało przystąpić do dzieła, kuć żelazo póki gorące, ze wszystkich razem bateryi rozpocząć morderczy ogień.

Wilczek mniej upornie obstawał przy swojem osamotnieniu; Juliusz upatrzył porę, powtórzył mu dopytywania o zdrowie i pochlebne słowa Dahlmana, natarł obcesem na przyjaciela i porwał go wieczorem w odwiedziny do lwowskiego pieniężnika.

Bankier nie posiadał się z uciechy, żałował w duszy, że kilka tylko nieznacznych osób uczestniczyło poufałej uprzejmości, z jaką Wilczek odpowiadał na jego przyjęcie; sam zapytany o córkę oświadczył z uśmiechem, że młoda gospodyni dowiedziawszy się o miłych dla całego domu odwiedzinach, z większą zapewne niż kiedykolwiek przyjemnością zejdzie na dół do herbaty.

(Dalszy ciąg nastąpi).